

Jakob Wegelius *Małpa mordercy*

tłum. Agnieszka Stróżyk

Wydawnictwo Zakamarki 2021

fragmenty z opisem pałacu maharadży

Rankiem szóstego dnia podróży przekroczyliśmy granicę Bhapuru i za ledwie godzinę później wjechaliśmy do stolicy księstwa. Też nazywała się Bhapur i wyglądała jak wszystkie inne miasta, przez które przejeżdżaliśmy w ostatnich dniach. Wzdłuż pokrytych kurzem ulic ciągnęły się rzędy gęsto pobudowanych domów o dwóch kondygnacjach. Wszędzie roiło się od ludzi i zwierząt.

Ze stolicy pojechaliśmy na północ i chwilę później pociąg zatrzymał się na stacji Sunahiri Bagh Palace. To był cel naszej podróży — pałac królewski Bhapuru. Wysiedliśmy przy potężnym gmachu z połyskującego różowego kamienia. Nie ja jedna dałam się zwieść, że to właśnie jest pałac maharadży. Myliliśmy się. Różowa budowla była zaledwie jego prywatnym dworcem. Na peronie, wyłożonym mozaikami w orientalne wzory, czekała orkiestra dęta złożona z bez mała pięćdziesięciu mężczyzn w białych uniformach i czerwonych turbanach. Zaintonowali huczny marsz powitalny. Dyrektor Thursgood wyglądał na bardzo zadowolonego z takiego przywitania.

Sześć złotych samochodów marki Rolls-Royce przewiozło nas z dworca do Bhapur Grand Hôtel, gdzie mieliśmy się zatrzymać na noc. Dostałam własny pokój. Był tak elegancki, że aż bałam się wejść do środka. W głowie kręciło mi się od natłoku wrażeń. Okna wychodziły na olbrzymi ogród. Przystrzyżone w różne kształty krzewy, klomby z różami i tryskające źródelka ciągnęły się daleko po horyzont. Na brzegu wielkiej sadzawki zobaczyłam setki flamingów. Wzdłuż rabat i ścieżek służba na klęczkach przycinała trawę srebrnymi nożycami.

Z bliska pałac wydawał się niewiarygodnie wielki. Gdy tylko się zatrzymaliśmy, samochody otoczyli służący, żeby otworzyć nam drzwi.

Dewan szedł przodem i prowadził nas przez pałac. Przepych tego miejsca był niepojęty. Zewsząd otaczały nas białe marmury, złoto i srebro. Słyszałam, jak ludzie Thursgooda szeptem komentują stare malowidła i rzeźby w komnatach, przez które przechodziliśmy. Wyglądało na to, że każdy najmniejszy element wystroju wart jest fortunę.

Dotarliśmy pod wysokie dwuskrzydłowe drzwi, których strzegło dwóch groźnie wyglądających żołnierzy z obnażonymi szablami. Otworzyli drzwi i wpuścili nas do ogromnej sali z wysokim półkolistym sklepieniem. Później dowiedziałam się, że była to sala Durbar. To w niej maharadza udzielał audiencji i urządzał przyjęcia z różnych okazji.

Światło spływało z ośmiu olbrzymich żyrandoli, z których każdy był dwa razy większy od sterówki na *Hudson Queen*. Na posadzce rozłożono po okręgu bez mała dwieście tygrysiich skór. Wszystkie tygrysie głowy skierowane były do środka sali. Tam właśnie, w samym centrum, stał złoty tron, a na nim zasiadał maharadza Bhapuru. Ubrany był w sięgającą do ziemi jedwabną szatę ze stójką wokół szyi, a jego turban mienił się szlachetnymi kamieniami we wszelkich możliwych kolorach.

Dotarliśmy do sali Durbar. Za jedną z wielu stojących tam marmurowych rzeźb ukryta była sklepiona wnęka, w głębi której znajdowały się drzwi strzeżone przez dwóch gwardzistów. Rozstąpili się, otwierając je przed nami. Znaleźliśmy się w prywatnych apartamentach maharadży. Służący zostawił mnie w bibliotece.

Półki pięknie rzeźbionych regałów uginały się pod opasłymi tomami w wiekowych skórzanych oprawach. Maharadza, odziany w jedwabny szlafrok, leżał wyciągnięty na okazałej sofie.

Służący szedł przodem przez pałac. Podążaliśmy labiryntem korytarzy, schodów, balkonów, tarasów i wąskich mostków nad stawami, w których pływały karpie i karasie. Mijaliśmy jadalnie, biblioteki, palarnie i otwarte galerie wychodzące na kamienne dziedzińce, na których szemrały fontanny, a kwiaty na

klombach mieniły się tysiącem barw. Wszędzie wokół widziałam wytwornych mężczyzn o obwisłych brzuchach i bujnych brodach. Niektórzy ubrani byli w mundury z przypiętymi do piersi licznymi medalami, inni mieli na sobie stroje łowieckie lub sportowe. Jeszcze inni grali w bilard i popijali drinki albo przysypiali w wygodnych fotelach.

W pałacu byli sami mężczyźni. Nie zauważyłam ani jednej kobiety.

Szerokie kręcone schody poprowadziły nas w dół do piwnicy, w której na ziemi siedziało około pięćdziesięciu przygarbionych mężczyzn i szyło w świetle lamp elektrycznych na suficie. Wzdłuż ścian leżały tkaniny w najróżniejszych kolorach i wzorach, ciasno poutykane na półkach ciągnących się od podłogi po sufit. To musiała być szwalnia maharadży.

Przez kolejne dwa tygodnie przechadzałam się po pałacu od wczesnego ranka do późnego wieczora. Po jakimś czasie zorientowałam się, że pałac Sunahiri Bagh składał się z mnóstwa mniejszych budynków, które niejako zrosły się ze sobą, połączone siecią niezliczonych tuneli, mostów, tarasów i balkonów. Pałac był tak naprawdę osobnym miastem z różnymi dzielnicami i kwartałami.

W centrum pałacu znajdowała się sala Durbar, w której bezpośrednim sąsiedztwie maharadża miał swoje prywatne apartamenty. Strzegli ich żołnierze z jego osobistej gwardii. Nie wpuszczano nikogo, jeśli maharadża go nie wezwał.

Na północ od apartamentów maharadży mieścił się kwartał rządowy. W przestronnych salach, po których niosło się echo, siedzieli skrybowie i urzędnicy i pracowali przy pulpitych ustawionych w długie rzędy. Ministrowie siedzieli pojedynczo w swoich gabinetach. Byli to sami opaśli mężczyźni, każdy z bujną brodą i zalęknionym spojrzeniem, odziani w wysokie nakrycia głowy.

Północne skrzydło pałacu, wychodzące na stajnie dla słoni i garaże, należało do służby. Mieszkali tam kucharze, służący, sprzątacze, muzycy, ogrodnicy, rzemieślnicy, stajenni, szoferzy i wiele jeszcze innych osób. Wśród nich czułam się bardziej swojsko niż w reprezentacyjnych częściach pałacu.